WTOREK

Ostatnia wyprawa „Dziadka" – str. 3

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 118 10 PAŹDZIERNIKA 1978 R. CENA 1,50 ZŁ

„SŁONECZNI" W CZECHOSŁOWACJI

CZECHOSŁOWACJA (HSI). Kilka kilometrów od miasteczka Kadań, w okręgu Chomutov w Czechosłowacji, polscy specjaliści budują jedną z największych naszych eksportowych inwestycji w tym kraju – elektrownię na węgiel brunatny „Prunežov II". Na terenie tej budowy, choć to dopiero jej początki, przebywa w tej chwili już ok. 2 tys. Polaków, wśród nich wielu członków Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Aktyw ZSMP był współinicjatorem zorganizowania w dniach 16–23 września br. „Dni Kultury Polskiej w Kadaniu". Odbyło się kilkadziesiąt różnych imprez, spotkań, projekcji polskich filmów, występów polskich zespołów artystycznych. Jednym z nich był Harcerski Zespół Artystyczny Katowickiej Chorągwi ZHP „Słoneczni", który występował i w Kadaniu i w Chomutovie, zbierając bardzo gorące oklaski licznie zgromadzonej publiczności. Każdy z występów kończył się... niezaplanowanym przez organizatorów spotkaniem przyjaźni z czechosłowackimi pionierami, którzy cierpliwie czekali aż katowiccy harcerze przebiorą się po występie, aby wymienić adresy, i znaczki.

Był to pierwszy pobyt „Słonecznych" w okręgu Chomutov, ale... chyba nie ostatni. Tym bardziej, że zespół jest w trakcie przygotowywania całkiem nowego programu z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka. **(ek)**

Szkolne obserwatorium astronomiczne

PŁOCK (HSI). Na szczycie gotyckiej wieży w słynnej „Małachowiance" w Płocku – w szkole liczącej już prawie 800 lat – powstaje obserwatorium astronomiczne. Po umocnieniu zabytkowej budowli ekipy pracowni konserwacji zabytków przystąpiły do budowy kopuły z ruchomym dachem. Dzięki pomocy Uniwersytetu Warszawskiego skompletowano już część wyposażenia. **(kż)**

WIEJSKA DRUŻYNA MSR

PARZĘCZEW (HSI). Na obozie letnim w Gortatowie powstała pierwsza w województwie łódzkim wiejska drużyna Młodzieżowej Służby Ruchu. Działa ona przy Zarządzie Gminnym TPD w Parzęczewie. Ostatnio harcerze z tej drużyny gościli w Łodzi, gdzie na motodromie pogłębiali swoją teoretyczną i praktyczną znajomość przepisów ruchu drogowego. Przyda to im się w czasie trwającej przez cały rok szkolnej akcji opieki nad maluchami w drodze do i ze szkoły. **(kż)**

ELBLĄSKA CHORĄGIEW ZHP PRZYJĘŁA IMIĘ A. ZAWADZKIEGO

ELBLĄG (HSI). Na placu przed pomnikiem Odrodzenia w Elblągu odbyła się 18 bm. uroczystość nadania tamtejszej Chorągwi ZHP imienia Aleksandra Zawadzkiego oraz wręczenia sztandaru ufundowanego przez społeczeństwo regionu. W uroczystości wzięło udział ponad 12 tys. zuchów, harcerzy i instruktorów. Obecni byli gospodarze województwa z I sekretarzem KW PZPR Antonim Płowniakiem, minister oświaty i wychowania Jerzy Kuberski, a także wdowa po Aleksandrze Zawadzkim Stanisława Zawadzka. **(kż)**

Amsterdam – Rijskmuseum, najbogatsze muzeum sztuki holenderskiej, w którym mieści się kolekcja malarstwa holenderskiego. Znajduje się tu unikalny zbiór dzieł Rembrandta, J. Vermeera van Dèlft i innych malarzy, także hiszpańskich, francuskich i włoskich

SPRAWNE RĘCE

BIELSK PODLASKI (HSI). Członkowie klubu HSPS „Sprawne ręce", działającego przy zespole Szkół Rolniczych w Bielsku Podlaskim, zajmują się ludowym rękodziełem. Robią wyszywanki, gobeliny itp. Wzory do swych wyrobów czerpią z etnograficznych rajdów po okolicznych wsiach.

Największym sukcesem „Sprawnych rąk" z Bielska Podlaskiego jest złota i brązowa „Jodła" zdobyta podczas IV i V Harcerskiego Festiwalu Młodzieży Szkolnej w Kielcach za prezentowane wyroby.

(mi)

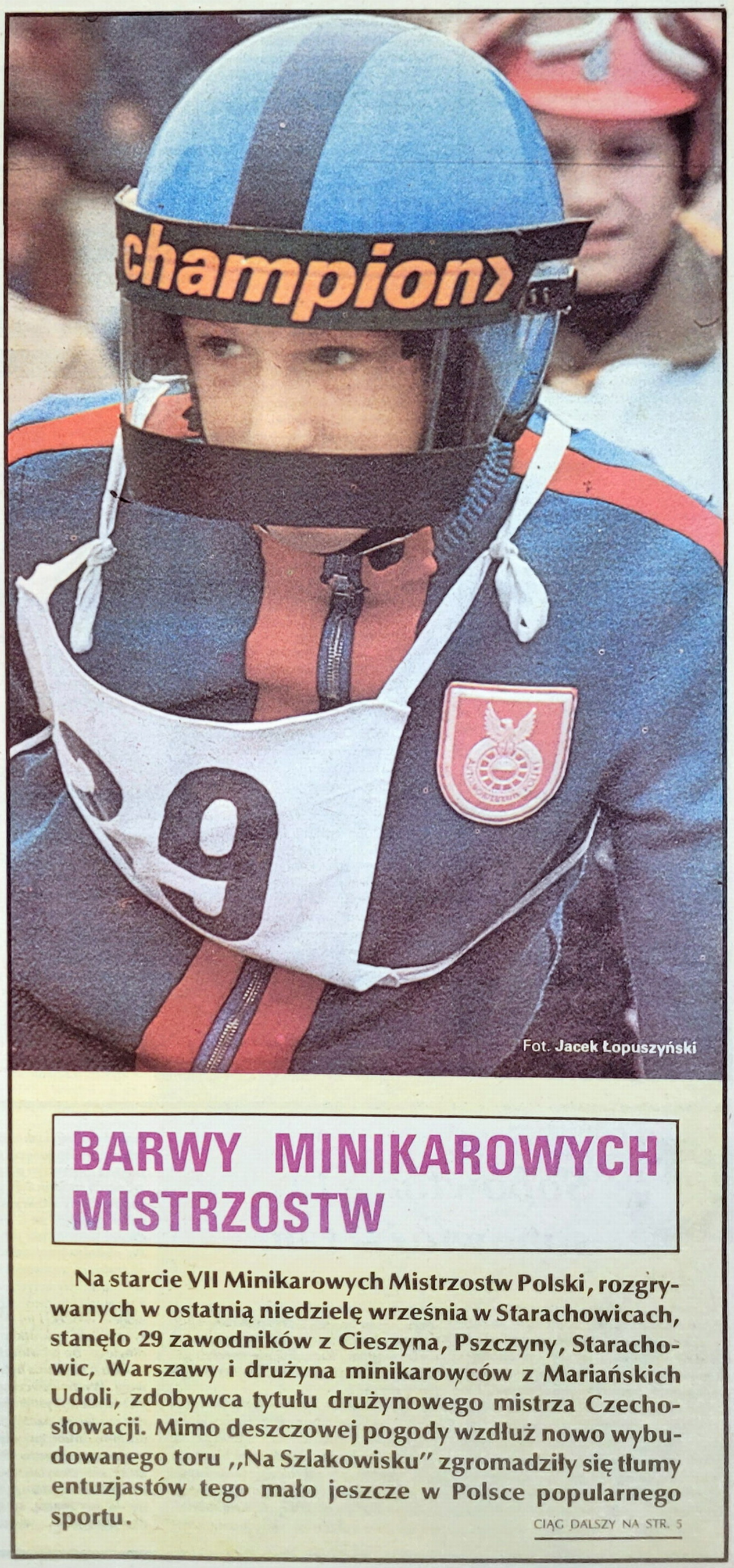

Fot. **Jacek Łopuszyński**

BARWY MINIKAROWYCH MISTRZOSTW

Na starcie VII Minikarowych Mistrzostw Polski, rozgrywanych w ostatnią niedzielę września w Starachowicach, stanęło 29 zawodników z Cieszyna, Pszczyny, Starachowic, Warszawy i drużyna minikarowców z Mariańskich Udoli, zdobywca tytułu drużynowego mistrza Czechosłowacji. Mimo deszczowej pogody wzdłuż nowo wybudowanego toru „Na Szlakowisku" zgromadziły się tłumy entuzjastów tego mało jeszcze w Polsce popularnego sportu.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Październik –

miesiącem oszczędzania

Oszczędność popłaca

Na ulicach Warszawy jeżdżą już dwa prototypowe tramwaje wykonane w Chorzowskiej Wytwórni Konstrukcji Stalowych „Konstal". Zewnętrzna sylwetka tych wozów nie różni się wprawdzie od znanych już w kilku miastach (m. in. na Śląsku i w stolicy) przeszklonych, wygodnych tramwajów – ale wiadomo, że w nich, zamiast stosowanej dotychczas, klasycznej regulacji prądu, wprowadzono układy tyrystorowe. Konstruktorzy spodziewają się, iż poprzez wyeliminowanie urządzeń elektromechanicznych i zastosowanie techniki elektronicznej – w eksploatacji jednego wozu tramwajowego będzie można każdego roku zaoszczędzić około 30 tysięcy kilowatogodzin energii elektrycznej. Ta nowość w elektrotechnice tramwajowej powinna przyczynić się także do poprawy częstotliwości kursowania tramwajów. Będzie to możliwe dzięki usprawnieniu systemu poboru mocy z podstacji zasilających trakcje tramwajową. Próbna eksploatacja kursujących wozów potrwa około roku. Podjęcie seryjnej produkcji przewiduje się na lata osiemdziesiąte.

Oszczędzanie energii elektrycznej, surowców, pieniędzy jest hasłem popularnym nie od dziś. A tymczasem stale się słyszy: – „twoje to?" No właśnie! I płoną wszystkie żarówki, choć już dawno się wypogodziło i dzień nastał biały. W urzędach, szkołach – jak zapalono lampy rankiem, tak się palą. Podobnie jest na ulicach, bo „czy to moje"? W kuchence języki gazu nie mają czego grzać, bo woda w czajniku dawno zawrzała, zrobił sobie herbatę kto chciał, ale gazu na wszelki wypadek nie wyłączono; tak jest w wielu biurach.

Nowy podręcznik już ma pozaginane rogi, ale przecież właścicielowi na te dziesięć miesięcy wystarczy, a dalej „co mnie to obchodzi". Przykłady marnotrawstwa, energii elektrycznej, gazu, wody można obserwować wszędzie. W domach prywatnych jest nieco inaczej, gdyż trzeba płacić z własnej kieszeni, a przecież żal, gdy „własne" złotówki uciekają, zamiast się znaleźć na książeczce PKO. Tak, tylko czy cena i wartość naszej złotówki oraz tej indywidualnej jest inna? Przecież jakoś się jedna o drugą zazębia i nie trzeba być ekonomistą, aby to rozumieć. Może jednak łatwiej uświadomić to sobie w październiku, który według zwyczaju jest miesiącem oszczędzania?

(ag)

Uwaga: nadchodzi XXI wiek...

POLSKIE ROBOTY PRZEMYSŁOWE

Zbudowanie maszyny, która potrafiłaby powtórzyć wszystkie ruchy człowieka mającego do dyspozycji 292 różne mięśnie i 144 ruchome człony swego ciała – jest na razie niemożliwe. Do celów przemysłowych muszą wystarczyć nam roboty zdolne wykonać tych ruchów zaledwie kilkadziesiąt. Ale za to jakież one są precyzyjne...

Prezentowane na załączonych zdjęciach polskie roboty, wykonane w **Przemysłowym Instytucie Automatyki i Pomiarów w Warszawie**, składają się z dwóch części: manipulacyjnej i połączonego z nią układu sterowniczego. Układ sterowniczy znajduje się w oddzielnej szafie, która może być ustawiona kilka metrów od niego, a nawet – jeśli zajdzie taka potrzeba – w oddzielnym pomieszczeniu. W szafie sterowniczej znajduje się minikomputer o rozbudowanym układzie pamięciowym. To on właśnie prowadzi końcówkę wykonawczą robota (chwytak) po liniach prostych lub torach bardziej skomplikowanych.

Przedstawiamy jednego z nich

Pięć elektrycznych silników rozmieszczonych w części manipulacyjnej zapewnia robotowi możliwość wykonania pięciu niezależnych od siebie ruchów w różnych kierunkach. Dodatkowo gdy jest to konieczne, może on poruszać się po torze o długości 5 metrów. Jest to odległość wystarczająca na to, aby obsługiwał równocześnie kilka maszyn, magazynów części i stojaków z narzędziami. Chwytakiem robota można sterować pneumatycznie, hydraulicznie, lub elektrycznie. Na nim też umieszcza się stałe lub wymienne narzędzia obróbcze takie jak tarcze ścierne, wiertarki, lub aparaty spawalnicze. Ramię robota może być zaopatrzone w tzw. zbliżeniowy czujnik elektromagnetyczny. Wtedy robot odnajdzie przedmiot, który został umieszczony w magazynie niezupełnie na swoim miejscu. Udźwig – w zależności od wersji – 6 lub 60 kg.

Urządzenie ma wbudowane kilka systemów alarmowych:

● **alarm błędów** – działa, gdy nie takie jak potrzeba przedmioty trafiają do obsługiwanego przez niego gniazda obróbczego.

● **alarm temperatury** – gdy temperatura otoczenia przekracza ustaloną wartość krytyczną

● **alarm utraty programu** – kiedy robot „zapomina" co ma dalej robić

● **alarm braku przedmiotów do obrabiania.**

We wszystkich tych wypadkach robot automatycznie zatrzymuje się do czasu gdy ktoś z ekipy nadzorczej ustali i usunie uszkodzenia. Ekipa ta nie jest zresztą liczna – **na pięćdziesiąt pracujących jednocześnie robotów wystarczy trzech ludzi!**

Wszystko zależy od nauczyciela

„Uczenie" robota odbywa się za pomocą niewielkiego przenośnego pulpitu. Po ustawieniu manipulatora na stanowisku, przygotowaniu maszyn towarzyszących, dostarczeniu niezbędnych przedmiotów itp. rozpoczyna się „nauka". Pracownik programujący naciskając odpowiednie przyciski ręcznie kieruje robotem, np. zbliża go do pojemnika z przedmiotami przeznaczonymi do obróbki. Gdy uzna, że zbliżył się już dostatecznie uruchamia przycisk „Zapamiętaj". Następnie, w taki sam sposób kieruje samym ramieniem manipulatora – znów „Zapamiętaj". dalej uruchamia chwytak obejmujący przedmiot – i „Zapamiętaj". Podnosi przedmiot – i „Zapamiętaj wysokość"... itd. Po wykonaniu z pomocą operatora całego cyklu czynności związanych np. z obróbką jednego przedmiotu, robot zostaje przełączony na automatyczne już wykonywanie tej samej pracy. **Teraz błyskawicznie, z dokładnością do ułamka milimetra, powtarzał będzie zaprogramowane wcześniej ruchy.** Z żelazną konsekwencją, z ogromną precyzją, nie męcząc się i nie nużąc może pracować aż do całkowitego zużycia się jego elementów, czyli przez okres... około 3 lat bez żadnej przerwy!

Taka jest filozofia postępu

Współczesne trudne technologie wymagają coraz większych dokładności i precyzyjnego powtarzania operacji produkcyjnych. Ograniczone możliwości człowieka przestają już wystarczać w nowoczesnym przemyśle. Człowiek, szczególnie pod koniec swojej pracy, zmęczony i znużony popełnia błędy. Błędy w produkcji oznaczają braki, a to podnosi koszty. Roboty natomiast liczbę braków pozwalają ograniczyć do minimum. Zastąpią też ludzi wszędzie tam, gdzie występują niesprzyjające dla zdrowia i życia warunki pracy, wszędzie tam, gdzie jest nadmierne zapylenie, hałas i trujące wyziewy.

Roboty przemysłowe to wielki krok ku całkowitej automatyzacji wytwarzania niektórych produktów. Dysponując nimi będziemy mogli budować fabryki na miarę XXI wieku, w których ludzie zajmą się jedynie planowaniem i nadzorowaniem zautomatyzowanych linii produkcyjnych.

Polska jest jedynym wśród krajów socjalistycznych, i jednym z niewielu w świecie, producentem tego typu urządzeń.

MIECZYSŁAW KOMUDA

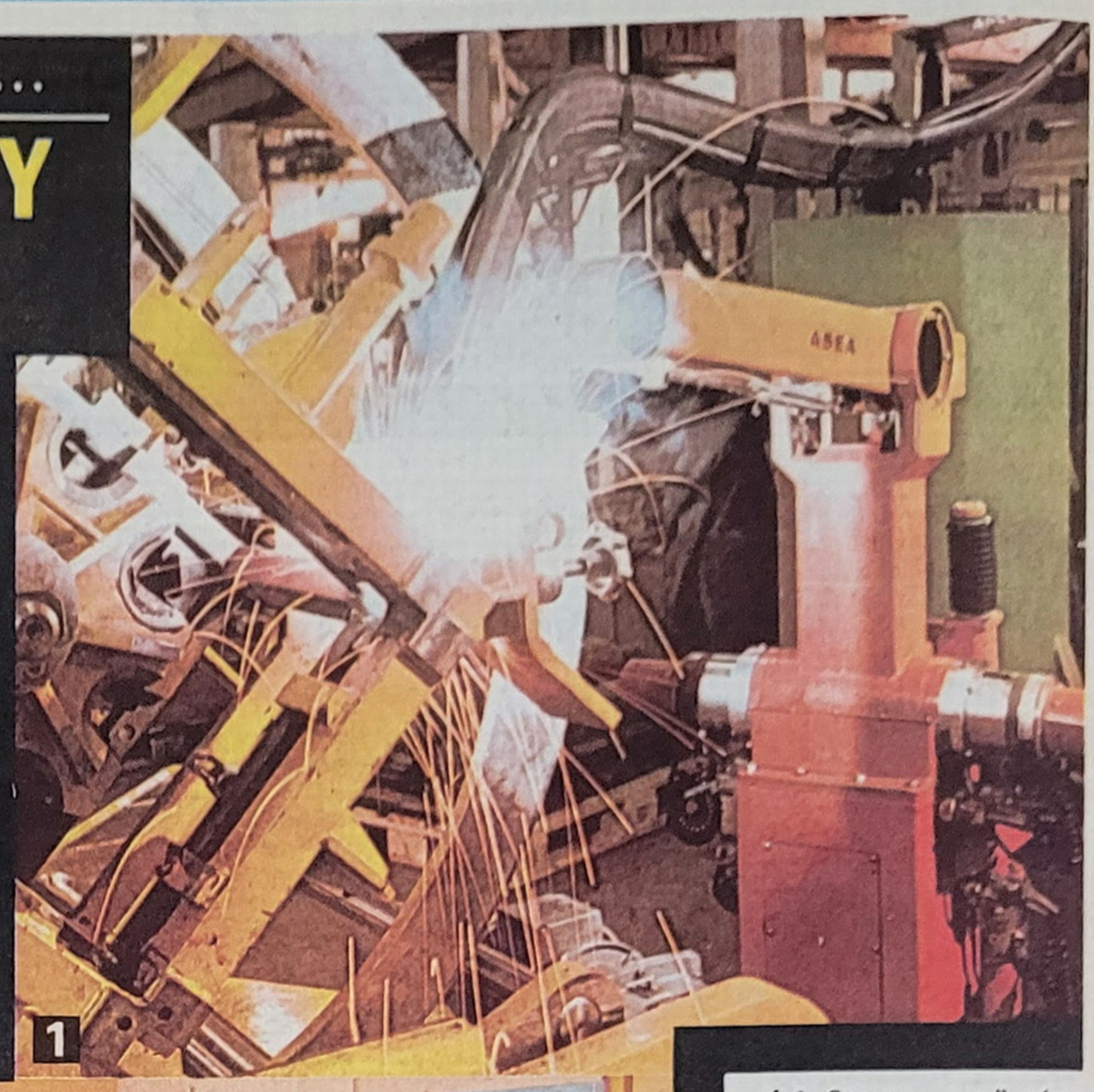

1

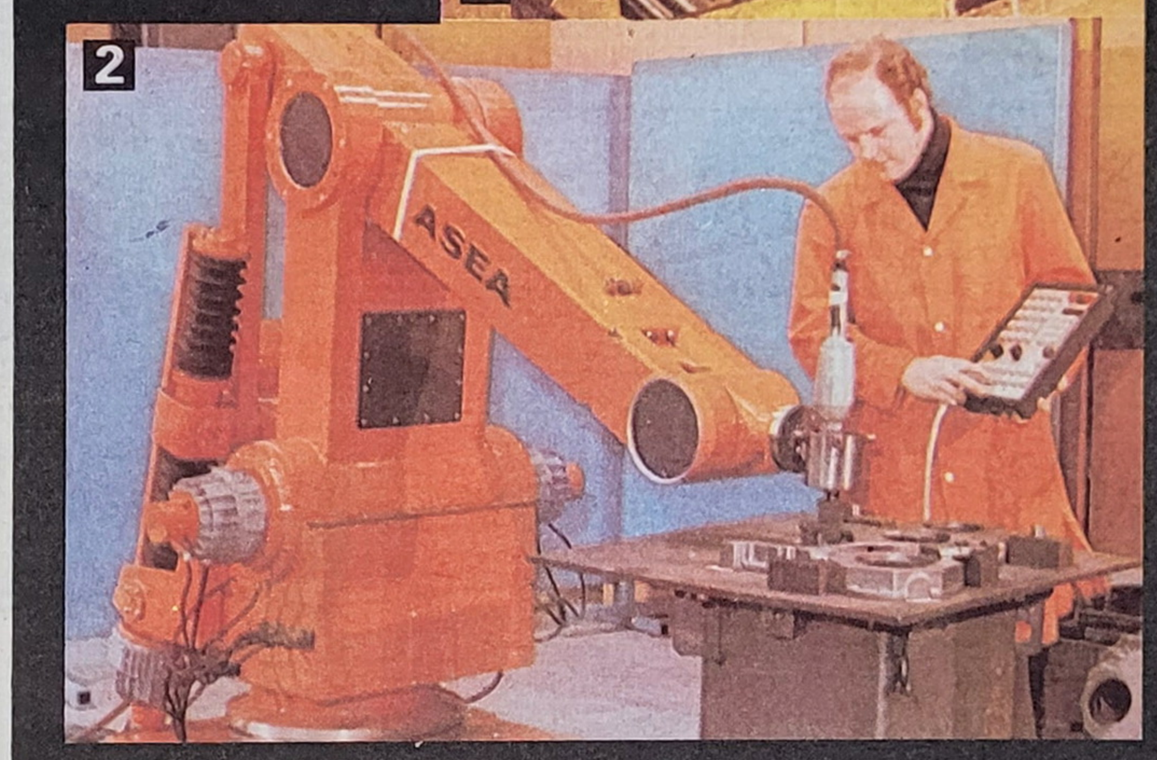

2

1. Operator „uczy" robota wykonywania poszczególnych, następujących po sobie czynności.

2. Po zaprogramowaniu, urządzenie wykonuje – już samodzielnie i z dużą dokładnością – wszystkie operacje. Na zdjęciu: automatyczne spawanie.

Sobowtór – tu, sobowtór – tam...

Pamiętam, że kiedyś dawno temu (no, bez przesady!), kiedy chodziłam jeszcze do szkoły, walczyłyśmy w naszej klasie okrutnie dziarsko o to, żeby pozwolono nam zrezygnować z bardzo wstrętnych granatowych fartuchów z podszewki. Ponieważ było w klasie kilka dziewcząt, które wybierały się studiować psychologię i zainteresowania w tym kierunku miały, więc argumentacja była bardzo naukowa. Nie żadne tam, że my nie lubimy, że nam się nie podoba, ale, że na psychikę jednostek i tym samym wyniki w nauce nieszczególnie działa taka koszarowość i mundurowość. Naukowe podejście okazało się skuteczne i (ku naszemu zresztą zdziwieniu, bo tak naprawdę, to nikt w pozytywne efekty podjętej kampanii nie wierzył) pozwolono nam przychodzić do szkoły, jak która chce.

Przez pierwszy tydzień było barwnie, fajnie i indywidualnie. W pierwszy dzień drugiego tygodnia Krysia i Irka (one się bardzo przyjaźniły) przybyły w identycznych spódnicach, które sobie same uszyły i w identycznych sweterkach, które sobie same na drutach wydziergały. Krój spódnicy okazał się być rewelacyjnie prosty, a materiał i modny, i jakoś okazyjnie wręcz tani tak, że po upłynięciu kolejnego tygodnia połowa dziewczyn paradowała już w identycznych spódnicach. Jeszcze góry do tych spódnic były wówczas inne, ale to chyba tylko dlatego, że... sweterki na drutach dłużej się robi niż prostą spódnicę szyje. Po mniej więcej miesiącu któregoś dnia okazało się, że wszystkie dziewczyny przyszły do szkoły w tych samych spódnicach, a sweterki do nich różniły się jedynie rodzajem włóczki i jej odcieniem. Aha, Grażyna miała z krótkim rękawem zamiast długiego, bo jej włóczki zabrakło.

Akurat tego dnia była godzina wychowawcza. Wychowawczyni weszła po dzwonku i kazała wszystkim wstać. Przeszła między rzędami oglądając każdą z nas od stóp do głów. Minę przy tym miała poważną, czoło zmarszczone. W tym momencie jeszcze nie chwytałyśmy o co chodzi. Jak wróciła z powrotem pod tablicę, odwróciła się do nas twarzą, spojrzała na klasę bardzo surowo i... wybuchnęła śmiechem. Przez kilka mgnień byłyśmy zdezorientowane, potem – i my zaczęłyśmy się śmiać. No bo czy nie było to śmieszne?! Pieruńskie indywidualistki, nie ma co!

Oczywiście przesadziłam troszkę, bo naprawdę, to nie wszystkie sprawiłyśmy sobie identyczne spódnice i sweterki, ale czynność ta była na pewno udziałem większości, a reszta – miała na sobie rzeczy bardzo podobne.

Bo tak już jest, że często nawet człowiek uważający się za indywidualistę i oryginała, w szczegółach zewnętrznych upodabnia się do innych. No po prostu – naśladuje. I myślę, że rzadko kiedy bezwiednie, znacznie częściej – bezmyślnie. Mało to razy zdarza się widzieć na ulicy dwie dziewczyny. Zagadane tak, że świata nie widzą i o mało co pod autobus nie wpadną, znaczy się – serdeczne przyjaciółki. I obie odziane w identyczne np. czerwone spodnie. Tylko, że jednej, wysmukłej i wysokiej jest w nich ślicznie, a drugiej, nieco niższej i bardziej okrągłej – koszmarnie. Czemu więc je na siebie założyła? To proste – bo przyjaciółka ma takie.

Z wiekiem to oczywiście mija (zresztą, bynajmniej nie wszystkim mam jedną całkiem dorosłą znajomą, która jak widzi u mnie nowe buty, to leci do sklepu i natychmiast kupuje sobie takie same. Co mnie, nie ukrywam, do szału doprowadza!), ale czym dziewczyna młodsza, tym bardziej stara się w ubiorze swoim swoje koleżanki naśladować. I potem – jednej od drugiej nie można odróżnić: mundurek tu, mundurek – tam. Różne są te mundurki, zależnie od środowiska. W jednym panuje dżinsowy błękit, w innym – wojskowe khaki, jeszcze gdzie indziej – jakiś szydełkowy ażurek...

Czy to coś złego?! Myślę, że nie i wielkiego alarmu podnosić nie byłoby sensu. Ale – zastanowić się warto. Czy to naprawdę przyjemnie mieć dookoła swoich sobowtórów?!...

EWA KŁOSIEWICZ

BUZIA W CIUP czy KULTURALNY ŁOBUZIAK

Jakich uczniów lubią nauczyciele? Pytanie zdawałoby się proste, wręcz banalne, a jednak... okazuje się, że wcale nie tak łatwo na nie odpowiedzieć. Zanim porozmawiamy z nauczycielami, zadaliśmy je waszym kolegom, 130 uczniom ze szkół podstawowych i pierwszej klasy szkoły średniej.

Na początek dwa fragmenty ogólniejszych wypowiedzi.

DAREK: ***„Uczeń lubiany przez nauczyciela to przeważnie ten błyszczący wszechstronną wiedzą, ten bez żadnych grzechów na sumieniu, czysty jak łza..."***

IWONA: ***„Nauczyciele lubią wszystkich uczniów i chociaż czasem może się nam wydawać, że wolą tego lub innego, tak nie jest i ja to wiem!"***

Ta różnica zdań jest uzasadniona. Uczniowie mają różne doświadczenia, uczą ich różni nauczyciele. Pokusimy się jednak o usystematyzowanie zebranych odpowiedzi, o wybranie tych cech, na które „stawia" większość waszych kolegów.

UCZYĆ SIĘ

Podobno najłatwiej można zdobyć sobie sympatię nauczyciela dobrą nauką. Jak to należy rozumieć? Otóż ten, kto jest zawsze przygotowany do lekcji, a podczas niej aktywnie i solidnie pracuje: uważa, często zgłasza się do odpowiedzi i jeszcze na dodatek potrafi samodzielnie myśleć, może być spokojny – będzie lubiany. Pożądane jest również zainteresowanie przedmiotem danego nauczyciela.

Określenie „dobry uczeń" uzupełnia wiele innych: pilny, pracowity, sumienny, systematyczny, obowiązkowy, solidny.

SŁAWEK: ***„To jasne, że kiedy mamy osiągnięcia w nauce, nauczyciele są z nas dumni i tym samym zwiększa się ich sympatia do nas".***

BYĆ GRZECZNYM...

Wielu zwolenników ma wśród uczniów pogląd, że aby być lubianym, wystarczy być zdyscyplinowanym.

MONIKA: ***„Każdy nauczyciel będzie lubił ucznia, który jest grzeczny, spokojny, punktualny, nie rozrabia ani na lekcjach, ani na przerwach".***

MACIEK: ***„Nauczyciele lubią tych, którzy nie sprawiają im żadnych kłopotów, tych co to są zawsze w porządku."***

MICHAŁ: ***„Nauczyciele najczęściej lubią dobrych uczniów – zdyscyplinowanych. A szkoda!"***

Niektórzy chłopcy nie mogą przeboleć tego, że dziewczęta, według nich, są wyraźnie przez nauczycieli faworyzowane. Przykładem może być, zastanawiająca skądinąd, wypowiedź Wojtka.

„U nas w klasie nie ma w ogóle sprawiedliwości! Dziewczyny są ulubienicami nauczycieli. Nauczyciele lubią uczniów spokojnych, zdyscyplinowanych, dobrze uczących się, a takie są właśnie dziewczyny".

...I AKTYWNYM

Często powtarzające się zdanie: *„Aby być lubianym przez nauczycieli trzeba nie tylko dobrze się uczyć, ale być aktywnym społecznie".* Aktywnym społecznie, czyli *„biorącym żywy udział w życiu klasy i szkoły, tzn. w różnego rodzaju uroczystościach szkolnych i olimpiadach"* – **IZA**.

GRAŻYNA: ***„Z sympatią patrzą nauczyciele na tych, którzy należą do kółek zainteresowań, biorą udział w akademiach, pomagają dekorować klasę itp.".***

PAWEŁ: ***„Żeby być lubianym, musi się mieć dobry stopień z aktywności społecznej, a do tego trzeba starać się pracować w różnych bibliotekach i przedszkolach, za co otrzymuje się godziny prac społecznych".***

Niektóre wypowiedzi uczniów na temat aktywności społecznej wywołują prawdziwe zdumienie. Oto jedna z nich:

ANDRZEJ: ***„No, a jeśli uczeń zdecydowanie przekracza normę w przynoszeniu makulatury, to już wystarczy, aby w oczach nauczycieli był wspaniałym człowiekiem".***

Za ideał, któremu żaden nauczyciel nie mógłby się oprzeć, należałoby uznać

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Z NAFARAMI W CIENIU SKHAWR

Ostatnia wyprawa „Dziadka"

Wypoczynek nafarów

Nazywaliśmy ich nafarami, co w języku nowoperskim określa „człowieka", „mężczyznę". Nafarowie – lepiej brzmi niż tragarze, a mówienie o nich jako o kulisach jest niezbyt precyzyjne. W górach Afganistanu nie ma zawodowych kulisów, ci występują tylko w Himalajach i w Karakorum. Ludzie, którzy wynoszą bagaże wypraw w Hindukusz, do wysoko lokalizowanych baz, są przypadkowymi tragarzami, biednymi mieszkańcami tego regionu, w którym nie ma innej możliwości zarobkowania.

Nasi nafarowie pochodzili z jednej wsi leżącej u ujścia doliny, którą prowadziła trasa wędrówki do podnóża góry. Tej góry, na którą zamierzaliśmy wejść. Góra dolina i wieś nosiły tę samą nazwę: Skhawr.

Wśród nafarów idących w karawanie znalazł się staruszek, którego ani wiek, ani postura nie kwalifikowały do grona dźwigających. Malik (sołtys) wsi wyznaczył do karawany ludzi silnych, młodych i odpornych na nocny chłód. „Dziadek" nie był już odporny, ani też silny, przynajmniej na pozór, więc – jakby to nazwać po europejsku – utracił już koncesję tragarza wysokogórskiego. Mógł z nami iść za darmo. Specjalnie więc nie przejmował się trwającymi cały dzień targami o cenę za wyniesienie bagażu. Przykucnął w pobliżu naszego obozowiska we wsi, bacznie nas obserwował i obdzielał uśmiechem. Szybko zyskał naszą sympatię. Ruszył wraz z karawaną w gronie „osób towarzyszących", czyli sporej gromadki nafarów, którzy niczego nie nieśli, a jedynie liczyli na to, że ktoś po drodze zmęczy się i będzie zmuszony oddać swój bagaż. Najbardziej liczyli na nasze plecaki, znacznie wygodniejsze do dźwigania od skrzyń i bębnów. W karawanie nie obciążony z urzędu był Dżuma, chyba rówieśnik naszego „Dziadka", wyznaczony przez malika szef wszystkich tragarzy, postać cenna dla nas i szanowana. Szedł z nami jeszcze handlarz herbaty, haszyszu i pistoletów, który dotarł tylko do pierwszego biwaku, gdzie zaopatrzył nafarów przede wszystkim w haszysz, niektórych w herbatę, a pistoletów w ogóle nie sprzedał.

Tym ludziom, którzy dźwigali nasz bagaż nie mieściło się w głowach, że wielki wysiłek można wykonać bez haszyszu. Wchłaniali go nieustannie kładąc co kilka godzin pod języki szczyptę zielonego proszku. Trudno mi stwierdzić jakie było działanie haszyszu na organizm tych chudych, biednych postaci. Widziałem skutki – haszysz działał dopingująco, podrywał do walki, wywołując jednocześnie nastrój chwilowego ukontentowania, po czym, w godzinę, dwie później, następowała kompletna ruina. Ci ludzie padali wraz z bagażem i podnosiła ich kolejna porcja narkotyku. Byli wytrwali w drodze, szybsi od nas w marszu, ale nie mogli, lub nie umieli rozłożyć sił w czasie. Karawana szła zrywami: ostry start, przez godzinę dobre tempo, przez następną godzinę – słabsze i nagle odpoczynek. Siadali z bagażem nieoczekiwanie, sapali, regulowali oddech, niektórzy przyrządzali herbatę, inni sięgali po haszysz. I nie było na to rady, byli przekonani, że tak jest właściwie.

Z każdym dniem topniała ilość osób towarzyszących karawanie w góry. Rezygnowali z marszu za darmo, z chłodnych nocy. Zaspokoili zaciekawienie ludźmi z dalekiego świata i odeszli. Pozostał „Dziadek", który mógł już liczyć wyłącznie na bakszysz za dzielne dojście do bazy. I faktycznie był dzielny, nie wykazywał żadnego zmęczenia, tryskał humorem i wyraźnie wyczekiwał na moment, w którym miał się okazać użyteczny. Kto wie, co się jeszcze może zdarzyć?

I zdarzyło się mnie. Zagubiłem się. Trzeciego dnia po południu, pośród głazów, i zielonych, dość dużych krzewów zawędrowałem w boczne ramię doliny i pewnie z rozpędu zdobyłbym kilka dziewiczych szczytów, gdyby nie wydało mi się dziwne, że od dłuższego czasu idę absolutnie sam. Nie będę opisywał czarnych myśli jakie ogarnęły mnie po stwierdzeniu tego faktu. Prawdą jest, że niezwykle uradował mnie niespodziewany głos „Dziadka", który bardzo zmęczony i szczęśliwy odnalazł mnie i przed wieczorem doprowadził do biwaku karawany. Zastałem moich kolegów, którzy w ogóle nie wiedzieli, że zaginąłem oraz rozbawionych zdarzeniem nafarów. Bakszysz, duży bakszysz dla „Dziadka"! Nafarowie ciekawi, co też „Dziadek" zarobił, pilnie zaczęli nas obserwować. Wyciągam garść cukierków i garść kostek cukru i czekam na reakcję. Oczywiście uważam, że odnalezienie mnie jest warte co najmniej bębna cukru, ale – kalkuluję – jeśli zginę jeszcze ze dwa razy, trzeba będzie zawrócić wyprawę, która bez cukru w górach niewiele zdziała. Okazuje się, że bakszysz jest wystarczający. Dokładam więc dwa papierosy i znowu wywołuję zamieszanie! Pech! Zlecieli się nafarowie, oglądają. „Dziadek" staje się ekspertem papierosowym.

– Haszysz? – pyta.

– Tak, tak.

– Hubas haszysz?

– Och, jeszcze jaki dobry – oświadczam teatralnie.

„No więc trzeba dać wszystkim" – informuje „Dziadek" gestami i widząc moją nietęgą minę, zbiera nafarów i odbywa naradę. Nastąpiły potem różne nieporozumienia, wyjaśnienia, gestykulacje, tłumaczenia. Wreszcie zrozumieliśmy, że będzie „Dżaszyn", czyli święto i będzie „Palouan" – walki zapaśnicze o główną nagrodę, rzecz jasna: paczkę papierosów. Pośród ognisk i ostatniej na trasie karawany zieleni, obejrzeliśmy popis walk zapaśniczych, pełen gestów, symboli, hałasu kibiców i radosnych okrzyków kolejnych zwycięzców. Zaimponowali nam ci biedni, prymitywnie żyjący ludzie, zaimponowali teatrem walk zapaśniczych, który dotarł tutaj już bardzo dawno i wśród mężczyzn symbolizuje odwagę i siłę.

Walki prowadził nasz „Dziadek", zakończył je, wskazał zwycięzcę, po czym zebrał nafarów, aby im opowiedzieć o górze, do której dążyliśmy. Na wierzchołku Skhawr gasło akurat słońce, zaróżowiło lodową czapę na tle granatowego nieba.

Zapytałem „Dziadka", czy był tu kiedyś. Tak, był, nawet nie raz. Był również wtedy, gdy pod Skhawr dotarła pierwsza wyprawa. To była wielka wyprawa. Dużo ludzi? Nie, dużo odwagi i wielkie serca. Czy weszła na wierzchołek. O tak, weszła na wszystkie szczyty w okolicy. „Dziadek" pamięta ją najlepiej, po raz pierwszy szedł wówczas w karawanie wyprawy, pomagał zakładać bazę. Pytam jeszcze, czy pamięta kraj, z którego pochodzili uczestnicy tamtej wyprawy. Tak, to też pamięta, to był ten sam kraj z którego my pochodzimy. Kiedy zobaczył nas we wsi, wiedział, że jesteśmy z tego samego kraju. Dlatego z nami poszedł.

ZBIGNIEW TURKIEWICZ
Fot. **autora**

„Dziadek"

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

ucznia mającego dobre stopnie, zdyscyplinowanego i aktywnego społecznie.

No cóż, zobaczmy, co sądzą o tym sami nauczyciele.

PO PIERWSZE...

Żeby być lubianym, uczniowie wcale nie muszą być spokojni i bardzo grzeczni. Nauczyciele rozumieją dobrze, że młodzi z natury rzeczy są żywi, ruchliwi, niecierpliwi nawet.

„Trudno wymagać od nich, by zawsze siedzieli cicho ze złożonymi rączkami i z buzią w ciup".

„Przepadam za kulturalnymi łobuziakami".

„Nie lubię uczniów „ułożonych w ramki". Wolę tych nawet trudniejszych, ale spontanicznych i szczerych".

Tak więc sympatia nauczyciela jest po stronie uczniów żywych, pełnych energii, a nawet czasem trochę rozrabiających. Z tym, że jest jedno zasadnicze „ale" – muszą oni znać granice, których nie powinni przekraczać. A jeśli już zdarzy się im przebrać miarę, powinni umieć przyznac się do własnych błędów.

„Są uczniowie, którzy po prostu dają się lubić. Ich pogoda i poczucie humoru często pomagają przezwyciężyć własne złe nastroje, więc trudno nie być im za to wdzięcznym".

PO DRUGIE...

Posiadanie przez ucznia własnego zdania jest bardzo przez nauczycieli cenione. Nie chodzi oczywiście o to, żeby uczeń wszystkiemu zaprzeczał, żeby wszystko negował dla samej tylko negacji, albo z przekory czy złośliwości.

„Jeśli uczeń ma własne oblicze, jeśli ma własne zdanie i umie je uzasadnić, to nawet kiedy różni się ono od mojego, potrafię je uszanować i szanuję też jego posiadacza – ucznia".

Opinię tę podziela wielu nauczycieli.

PO TRZECIE...

Dopiero teraz coś o dobrej nauce. Nauczyciele wykładowcy podczas swoich lekcji ciepło patrzą na uczniów inteligentnych, błyskotliwych, samodzielnie myślących. Nie mniejszą sympatią darzą uczniów pracowitych, sumiennych, solidnych. Gdyby cechy te szły w parze, byłoby najlepiej, nie zdarza się to zbyt często.

Jeśli jednak nauczyciel zauważy, że uczeń jest zdolny i inteligentny, że stać go na wiele, ale nic nie robi, bo albo jest za leniwy, albo mu na tym nie zależy, przestaje go lubić.

„Taki uczeń właściwie obraża nauczyciela swoim stosunkiem do pracy, do przedmiotu".

O wiele bardziej lubią nauczyciele tych, którzy starają się, choć czasem jest im ciężko, dobrze pracować.

Poza tym uczeń nie może być egoistą i sobkiem. Choćby był najlepszy, jeśli myśli tylko o sobie, o swoich stopniach, wiele traci w oczach nauczycieli. Za to ten, kogo nie trzeba namawiać, by pomógł koledze, wiele z kolei zyskuje.

Idealny – to dla nauczycieli uczeń żywy, z temperamentem, ale kulturalny i z poczuciem dyscypliny, życzliwy i pogodny, mający własne zdanie i, co ważne, potrafiący je uzasadnić. Dobry uczeń, ale myślący nie tylko o swoich stopniach, koleżeński, zaangażowany w życie klasy i szkoły. (Ani słowa o makulaturze)

I cóż się okazało? Że ideał ideałowi nierówny?

Powiecie: Być takimi, jakimi chcieliby nas widzieć nauczyciele? Ależ to absolutnie niemożliwe, nie mamy żadnych szans.

Nie jest aż tak źle. Nauczyciele doskonale wiedzą, że ideały nie chodzą po ziemi. Jak świat światem nie było idealnego ucznia, nie było też idealnego nauczyciela, a jednak darzyli się jakoś wzajemną sympatią i darzyć się chyba będą.

EWA KOSIŃSKA

BUZIA W CIUP czy KULTURALNY ŁOBUZIAK

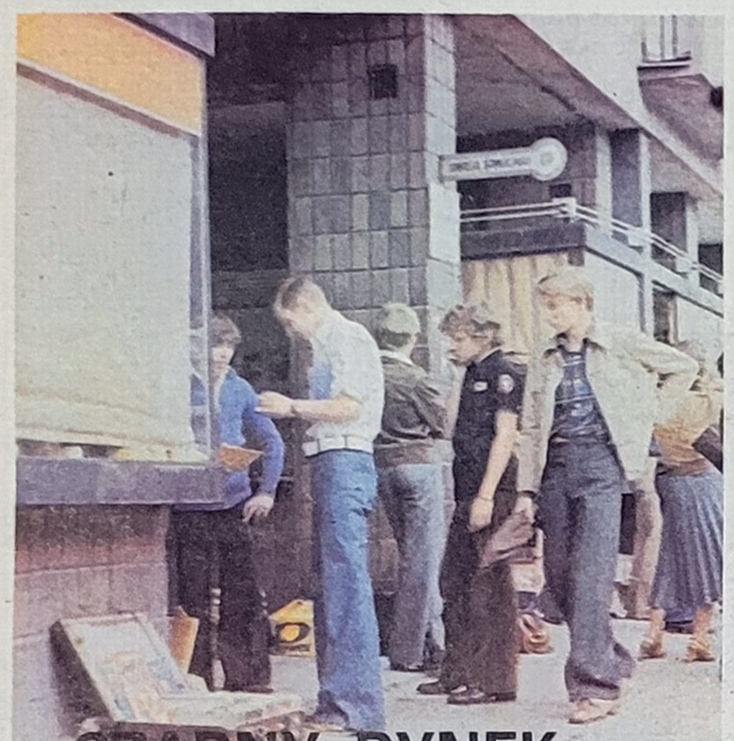

CZARNY RYNEK W BIAŁY DZIEŃ

Książki kosztują... od 150 złotych wzwyż. I to wcale nie żadne kryminały czy pasjonujące powieści, ale zwykłe szkolne podręczniki, stare, bez okładek, pomazane i poszarpane. Wszystko to dzieje się w Warszawie, przy ulicy Nowogrodzkiej, obok księgarni, która skupuje i sprzedaje używane podręczniki. Ale przed wejściem stoją kolesie, którzy zwietrzyli doskonały interes.

Przychodzi ktoś z kilkoma książkami, chce je sprzedać (oczywiście księgarnię obowiązują ceny oficjalne) i jeszcze musi stać w kolejce. Koleś natomiast kupuje hurtowo wszystkie książki – nawet ich nie oglądając – za kilkaset złotych. Później jedną sprzeda zdenerwowanej mamie lub pierwszoklasiście z zawodówki za... trzysta złotych. Nikt nie przeszkadza w tym procederze, personel księgarni nie jest do tego, a milicja jakoś się nie pojawia. Większość kupujących zostaje wystrychnięta na dudka, bo kupione za ciężkie pieniądze podręczniki najczęściej są nieaktualne. Ale to przecież nieważne. Ważne, że kilku kolesiów może zrobić duży szmal. A że są zorganizowani – świadczy fakt, iż zrobienie tych zdjęć nie było łatwe! „Obstawa" pilnowała fotoreportera, by nie wyjmował aparatu. Gdy mu się to jednak udało, musiał szybko opuścić ulicę, bo usłyszał kilka słów o tym, co się z nim za moment stanie. Interes zaś kwitnie w dalszym ciągu. (pas)

Fot. Leszek Adamski

SAM FOTOGRAFUJESZ SAM WYWOŁUJESZ

PROCES POZYTYWOWY – TECHNIKA POWIĘKSZANIA

Przygotowując do pracy powiększalnik, zwłaszcza z kondensorem, należy szczególnie dokładnie ustawić żarówkę, gdyż jednym z ważniejszych warunków uzyskania dobrych powiększeń jest równomierne oświetlenie pola obrazu. Jeżeli po założeniu obiektywu część pola jest oświetlona słabiej lub występują ciemne albo tęczowe plamy w kształcie łuku, oznacza to, że żarówka jest ustawiona nieprawidłowo. Rozluźniamy wówczas nakrętkę zaciskową na wierzchu kopuły powiększalnika i ustawiamy żarówkę w takim położeniu, w rezultacie którego uzyskujemy równomierne oświetlenie całego pola obrazu. Następnie dokręcamy nakrętkę usztywniając żarówkę w wybranym położeniu.

Pamiętajmy, że stopień powiększenia zależy nie tylko od zamierzonego formatu odbitki, ale również od wielkości wydzielonej do powiększenia części negatywu. Natomiast udany wybór wycinka obrazu (kadrowanie), zależy od smaku artystycznego fotoamatora i ma charakter twórczy.

Kolejną czynnością jest bardzo dokładne ustawienie ostrości obrazu. Przystępując do naświetlania wyłączamy żarówkę w powiększalniku, a na miejsce arkusika papieru, na którym ustalaliśmy obraz, kładziemy papier fotograficzny. Jeśli nasz powiększalnik zaopatrzony jest w czerwony filtr, nie musimy wyłączać światła, a jedynie zasłaniamy nim obiektyw, po czym naświetlamy odsuwając filtr w bok. Czas naświetlania przy powiększaniu zdjęć określamy wykonując próbę. Polega ona na tym, że na maskownicę kładziemy pasek papieru fotograficznego szerokości ok. 2 cm, zakrywamy go na 2/3 powierzchni kawałkiem czarnego papieru i następnie naświetlamy odkrytą część przez pewien krótki czas np. 2 sekundy. W dalszej kolejności przesuwamy czarny papier i odsłaniając jeszcze 1/3 paska naświetlamy powtórnie przez np. 4 sek. Wreszcie zupełnie usuwamy czarny papier i naświetlamy pozostałą część paska przez np. 6 sek. W rezultacie otrzymujemy naświetlony pasek papieru, podzielony na trzy części, z których jedna naświetlona jest przez 2 sek., druga przez 4 sek., a trzecia przez 6 sek. Po wywołaniu paska z łatwością można ustalić jaki czas daje prawidłowe naświetlenie.

Wiemy doskonale, że przysłanianie obiektywu podczas fotografowania zwiększa głębię ostrości zdjęcia. Taki sam skutek daje stosowanie przysłony przy powiększaniu zdjęć. Wydawać się może, że stosowanie przysłony w procesie powiększania traci swój sens, ponieważ mamy do czynienia z płaszczyzną negatywu, która nie posiada głębi. Tak jednak nie jest. Przysłanianie powiększa ogólną ostrość obrazu. Należy pamiętać i o tym, że negatyw i papier fotograficzny nie zawsze ściśle przylegają do maskownicy, co może być powodem nierównomiernej ostrości całego pola obrazu. Poza tym nawet przy najdokładniejszym nastawieniu ostrości mogą powstać niewielkie odchylenia. W takich wypadkach stosowanie przysłony uchroni nas przed ewentualną nieostrością obrazu.

Po naświetleniu odbitkę szybkim ruchem wkładamy do kuwety z wywoływaczem zwracając uwagę, by została całkowicie zanurzona. Co pewien czas poruszamy ją szczypcami obserwując niezwykle emocjonujące zjawisko ukazywania się „naszego" obrazu. Prawidłowo naświetlony fotogram wywołujemy przeciętnie ok. 2 minut w wywoływaczu o temperaturze 20°C. Po zakończeniu wywoływania odbitkę przepłukujemy w wodzie lub zanurzamy na okres 15 sekund w roztworze przerywającym (1% roztwór kwasu octowego). Następnie utrwalamy przez ok. 10–15 minut. Końcowe płukanie przeprowadzamy w bieżącej wodzie ok. 30 minut. W przypadku braku wody bieżącej należy płukać fotogramy zmieniając wodę dziesięciokrotnie co 5 minut. Dla polepszenia połysku powierzchni błyszczących fotogramów po ostatecznym płukaniu stosujemy dodatkowo kąpiel w roztworze FOTONALU (w rozcieńczeniu 1:200), a potem suszymy na gorącej suszarce elektrycznej.

Czy to już wszystko? Nie, to dopiero początek. Po pierwszych powiększeniach następują inne, technicznie na pewno coraz lepsze. Zgłębiamy coraz bardziej tajniki wiedzy fotograficznej i w krótkim czasie stajemy się gorącymi zwolennikami samodzielnej pracy, samodzielnego powiększania. Przekonamy się również już przy pierwszych próbach, że koszty naszego hobby są niewspółmiernie małe w stosunku do ogromnej radości, jaką daje tworzenie obrazu fotograficznego.

ANDRZEJ SPADARZEWSKI

K-36/51

BARWY MINIKAROWYCH MISTRZOSTW

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Prezentacja zawodników, flaga na maszt i sygnał do rozpoczęcia wielkich emocji. Pierwszy wystartował Krzysiek Stefański ze starachowickiego klubu minikarowego. Wśród kibiców rozeszła się wieść, że Krzysiek startuje na „czarnym koniu" mistrzostw – minikarze „Zuch" konstrukcji inż. Jana Grudniewskiego z FSC. Uzyskał doskonały czas, ale na starcie pojawił się kolejny zawodnik – Grzesiek Jurczak z Pszczyny, obrońca tytułu mistrza Polski w kategorii I. Jego minikar okazał się jednak wolniejszy od „Zucha". Krzyśkowi mógł więc tylko zagrozić jego kolega klubowy Leszek Leszczyński startujący na minikarze produkcji czechosłowackiej. I tak też się stało, Leszek uzyskał najlepszy czas w dwóch przejazdach i tytuł mistrza Polski. Ale Krzysiek i konstruktor „Zucha" mieli powód do radości, bowiem ich pojazd okazał się najszybszy z minikarów produkcji krajowej.

W kategorii II wszystko wydawało się jasne. Zawodnicy i znawcy minikarowego sportu byli przekonani, że Remek Dziewulski z Warszawy po raz trzeci sięgnie po tytuł mistrzowski. Jego minikar prezentował się okazale i już na pierwszych metrach od startu okazał się bardzo szybki. Remek pojechał brawurowo i... przeszarżował. Na mokrej jezdni nie udało mu się bezbłędnie pokonać licznych bramek i w efekcie stracił sporo cennych sekund. Triumfatorem mistrzostw w tej kategorii został więc Marek Myśliwski ze Starachowic. Były to więc mistrzostwa niespodzianek i – jak w żadnych dotąd – o sukcesie na nowym szybkim torze decydowała konstrukcja minikarów, rodzaj ogumienia, a także technika rozpędzania wózka.

Nadszedł czas największych emocji. Na starcie o Puchar Przyjaźni stanęło trzech najlepszych zawodników z drużyny CSRS i trzech reprezentantów gospodarzy. W pierwszym przejeździe triumfował Marek Myśliwski na minikarze produkcji czechosłowackiej. Pokonał on najlepszego zawodnika z Mariańskich Udoli – Jiżi Recha. A więc z techniką jazdy naszych zawodników nie jest tak źle! W drugiej parze wystartowali Vlastimir Bohaczik i Arek Kasprzyk na „Zuchu". Do połowy toru ważyły się losy tego zjazdu, ale na mecie pierwszy zameldował się zawodnik gości. Wynik zawodów 1:1. Ostatni decydujący o zdobyciu Pucharu Przyjaźni zjazd. Wszyscy trzymają kciuki za Leszka Leszczyńskiego, ale jego przeciwnik, Milan Hralsky, to wytrawny zawodnik. Leżąc niemal na minikarze do minimum zredukował opór powietrza i na mecie wyprzedził Leszka o niespełna sekundę. I tym razem nie udało się naszym zawodnikom zdobyć cennego trofeum.

Puchar Przyjaźni ufundowany przez Naczelnika Urzędu Miasta Starachowice, mgra Włodzimierza Werysa, odebrał kapitan drużyny gości – Jiżi Rech. Puchary „Świata Młodych" i tytuły mistrzów Polski na rok 1978 zdobyli: Leszek Leszczyński w kategorii I i Marek Myśliwski w kategorii II. I na koniec ogromnie miły moment – puchar komendanta Hufca ZHP w Starachowicach, hm Sylwestra Staniszewskiego zdobył siedmioletni uczeń SP-12, Maciek Grudniewski. Jego największym zmartwieniem w wieczór poprzedzający mistrzostwa było to, czy rodzice pozwolą mu spać w pełnym stroju zawodnika.

VIII Minikarowe Mistrzostwa Polski za rok. Ilu nowych minikarowców z różnych stron karju stanie na ich starcie? Ile powstanie w tym czasie nowych klubów minikarowch, którym przyjdą z pomocą inżynierowie, technicy i dyrekcja zakładów przemysłu motoryzacyjnego i nie tylko jak to jest w stolicy polskiego sportu minikarowego – Starachowicach?

RYSZARD RATAJCZYK

W rozwoju sportu minikarowego w Polsce możemy i chcemy mieć swój niebagatelny udział – powiedział inż. Waldemar Grzyb, z-ca dyr. Zakładu Doświadczalnego FSC w Starachowicach, który od początku do końca z zainteresowaniem śledził rywalizację zawodników Minikarowych Mistrzostw Polski

Marek Myśliwski i Jiżi Rech (nr 33) toczyli zacięty pojedynek od startu do mety

PO MISTRZOSTWACH POWIEDZIELI:

Mgr Włodzimierz Werys – Naczelnik miasta Starachowice:

– Cieszy nas, że od ubiegłorocznych mistrzostw udało nam się stworzyć znacznie lepsze warunki startowe. Będziemy je doskonalić, a tor „Na Szlakowisku" uzyska jeszcze odpowiednią oprawę. Powierzenie nam na stałe organizacji minikarowych Mistrzostw Polski zobowiązuje. Będziemy się starać, aby Starachowice dobrze wypełniały rolę minikarowej stolicy Polski.

Inż. Waldemar Grzyb – z-ca dyr. Zakładu Doświadczalnego Fabryki Samochodów Ciężarowych:

– Mistrzostwa były pokazem nie tylko prawdziwie sportowej rywalizacji na torze, ale także różnorodności konstrukcyjnej minikarów. Nie rezygnując z niej warto jednak opracować kilka prototypów minikarów, które można będzie wykonać nawet w skromnie wyposażonych warsztatach szkolnych. A przecież o to chodzi żeby sport minikarowy stawał się coraz popularniejszy. Chcemy w tym mieć swój niebagatelny udział.

Druh Sylwester Staniszewski – komendant Hufca ZHP – organizator mistrzostw.

– W tej imprezie najcenniejsze jest to, że obok sportowych emocji, stwarza ona możliwości rozwoju zainteresowań technicznych młodzieży szkolnej. Jest to swego rodzaju przedszkole dla przyszłych pracowników przemysłu motoryzacyjnego, techników, inżynierów i konstruktorów. Warto więc zwielokrotnić popularyzację działalności istniejących klubów minikarowych i popierać inicjatywy tworzenia nowych.

Najmłodszy zawodnik mistrzostw, Maciek Grudniewski na trasie Fot. **J. Łopuszyński**

Punktacja drużynowa mistrzostw

W KATEGORII I: 1. Drużyna z Mariańskich Udoli – 29 pkt; 2. HKM Starachowice – 21 pkt; 3. HKM Cieszyn – 4 pkt; 4. HKM Pszczyna – 1 pkt.

W KATEGORII II: 1. HKM Starachowice – 31 pkt; 2. HKM Cieszyn – 10 pkt; 3. Drużyna z Mariańskich Udoli – 10 pkt.

Rozpędzenie wózka często decyduje o wyniku zjazdu. W tej sztuce nasi południowi sąsiedzi są doskonali

WYNIKI VII MINIKAROWYCH MISTRZOSTW POLSKI

W kategorii I: 1. Leszek Leszczyński – 90,2 sek.; 2. Krzysztof Stefański – 98,0 sek.; 3. Paweł Stefański – 99,3 sek. (wszyscy ze Starachowic); 4. Krzysztof Bubik (Cieszyn) – 104,9 sek.; 5. Tomasz Płusa (Starachowice) – 115,7 sek.; 6. Sławomir Szczepańczyk (Pszczyna) – 120,7 sek.

W kategorii II: 1. Marek Myśliwski – 88,2 sek.; 2. Arkadiusz Kasprzyk – 89,1 sek.; 3. Sławomir Brodawka – 96,1 sek. (wszyscy ze Starachowic); 4. Krzysztof Płaza (Cieszyn) – 100,7 sek.; 5. Grzegorz Bielejec (Starachowice) – 102,2 sek.; 6. Remigiusz Dziewulski (Warszawa) – 103,1 sek.

REDAKCYJNA POCZTA

Mam złego ojca

Chodzę do klasy VIII szkoły podstawowej. Atmosfera w moim domu jest bardzo nieprzyjemna, a jej przyczyną jest ojciec. Całe swoje dzieciństwo spędziłam z dala od ojca, razem z matką i rodzeństwem mieszkaliśmy u babci. Mimo że było nam nieraz bardzo ciężko, jednak tamte chwile wspominam z żalem gdy porównuję je z tymi, które przyszły. Od niedawna, bo minęło dopiero pół roku, jesteśmy razem z ojcem, który dotychczas mieszkał w hotelu. Dzisiaj mieszkamy w swoim domu, który jest jednak niewykończony, brak kanalizacji i wody. Z całą rodziną zajmujemy 2 pomieszczenia w suterenach. Może wszystko układałoby się dobrze gdyby nie postępowanie ojca, który robi bardzo często awantury. Powodem tych awantur bywają zawsze błahe sprawy, pod którymi ukrywa się pieniądz. Ojciec w takiej sytuacji używa wulgarnych słów i w ogóle zachowuje się bardzo głośno. Ostatnio kiedy siostra powiedziała, że nie ma gdzie położyć podręczników, ojciec zaczął krzyczeć i uderzył siostrę w twarz, a potem mnie. Takie sytuacje powtarzają się bardzo często. Zarówno mnie jak i siostrę wszystko to wyczerpuje nerwowo. Wydaje mi się, że moje życie jest bez sensu, przynajmniej w tych momentach. Nie wiem co robić? Poradźcie mi.

Zrozpaczona B.

Sławomir Nita, ul. Moniuszki 1/1, 97-500 Radomsko pragnie nawiązać korespondencję z filatelistami.

Chcemy wymienić poglądy!

Już od roku jestem przewodniczącą Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, działającego w naszej szkole. Chcieliśmy nawiązać kontakt z innymi szkołami w kraju, porozmawiać o ich działalności, wymienić się znaczkami, pocztówkami, lub innymi cennymi zdobyczami i zainteresowaniami. Listy proszę kierować na adres: Izabella Zinówko szkolne koło TPPR ul. Lumumby 14, 80-371 Gdańsk – Oliwa Szk. Podst. nr. 76 im. J. Dąbrowskiego.

Składnica wysyłkowa

Jestem stałym czytelnikiem „Świata Młodych". Lubię majsterkować, lecz nie posiadam kompletu narzędzi. Zwracam się więc z prośbą o podanie mi adresu Składnicy Harcerskiej z W-wy.

OD REDAKCJI: Sprzedaż wysyłkową rzeczy nietłukących się prowadzi Dom Handlowy „Harcerz" ul. Marszałkowska 82/84, 00-517 Warszawa. (mm)

GWIAZDOZBIÓR

Rozmawiamy z JERZYM TRELĄ

– Niejednokrotnie spotykamy się z opinią, że „wszystko w człowieku może być teatralne".

– Zapewne jest w tym stwierdzeniu jakaś prawda. Mówi się często o teatrze, który zmierza do osiągnięcia doskonałości w przekazywaniu prawdy o życiu. Ale teatr i życie nigdy nie będą jednością.

– Jednak aktorzy czerpią z życia, z własnych przeżyć, doświadczeń...

– Nie mogę mówić w imieniu wszystkich aktorów...

– A więc, czy Pan w swojej pracy czerpie z własnych życiowych doświadczeń?

– Owszem, i dlatego staram się jak najintensywniej żyć życiem nieteatralnym. Unikam „sprzedawania się" – jako aktor – tej gromadzie ludzi, wśród których żyję. Jest to bowiem w moim przekonaniu niebezpieczne dla bliskich oraz dla mnie samego. Im więcej doświadczeń, wrażeń – zawiera życie aktora – nawet tych bardzo bolesnych i trudnych – tym realniejsza jest moim zdaniem możliwość dociekania prawdy w teatrze.

– Tym łatwiej do niej dotrzeć...

– Nie zgodzę się z tym, że łatwiej. Jeżeli ktoś cierpi i dzięki temu staje się bardziej doświadczony, to nie jest mu z tym łatwiej, ale chyba wówczas zbliża się do jakiejś prawdy właśnie o życiu, o człowieku...

– Z pańskiej wypowiedzi wnosić należy, że oddziela Pan zupełnie dom i pracę.

– Uważam, że rodzina to prywatna sprawa. Taka jest dla mnie i taka powinna być w moim mniemaniu dla każdego aktora. Dom stanowi podstawę mojego życia i zawsze stawiam go na pierwszym planie. Teatr dopiero na drugim.

– Czy chciałby Pan, żeby syn wybrał także zawód aktora?

– Nie, ale wydaje mi się, że nie mam prawa wybierać memu synowi zawodu. Jedno co powinienem i co staram się robić, to ukierunkowywać go tak, żeby wykorzystywał własne

Jerzy Trela w nowym filmie reż. Jerzego Hoffmana pt. „Do krwi ostatniej"

zdolności. Ponieważ wykazuje talent plastyczny, więc uważam, że moje próby stworzenia mu możliwości rozwoju w tym kierunku są słuszne. Zresztą ma dopiero 11 lat, sam dojrzeje do decyzji – kim ma być. Ja pragnę, żeby jego zdolności rozwinęły się jak najlepiej.

– Czy zdarzało się Panu grywać przed widownią dziecięcą?

– Nie dzielę widowni na dorosłą i dziecięcą. Ale jeżeli przygotowujemy przedstawienie dla dzieci, wówczas staramy się przyjąć taką konwencję, która byłaby dla nich zrozumiała. Podejmujemy problemy, które dzieci potrafią przyswoić. Wydaje mi się, że na tym jedynie polega różnica w moim podejściu do roli – na specyfice sztuki. Role w przedstawieniach dla dzieci staram się przygotować jak najlepiej, pamiętając o tym, że ta widownia jest niezmiernie chłonna, wrażliwa i czysta oraz o tym, że niezmiernie łatwo ją oszukać, nawet nieświadomie.

– Czy widzi Pan w działalności teatru istotny czynnik wychowawczy?

– Wydaje mi się, że jest to jedna z najmocniejszych form oddziaływania na dzieci i młodzież, dlatego że pobudza wszystkie zmysły.

– Należałoby więc młodą widownię jak najczęściej kontaktować z teatrem. Niestety, przedstawienia dla dzieci, w większości teatrów, to niewielki fragment ich działalności.

– Wydaje mi się, że w Teatrze Starym w Krakowie, nie jest to działalność marginesowa. Większym złem natomiast, jak mi się wydaje, bywa to, że przedstawienia dla dzieci traktowane są jako zło konieczne, jako coś co należy zrobić, ponieważ wymaga tego program działalności teatru. Uważam, że powinniśmy więcej myśleć o swoich dzieciach – to one zostaną po nas.

– Czy dlatego, że będą nas oceniały?

– To czy będą oceniały czy nie, wydaje mi się nie tak istotne, jak po prostu wartość tego co my im pozostawimy po sobie.

* * *

W tej chwili Jerzy Trela kończy pracę nad rolą kapitana Gawlika, oficera I dywizji WP. im. Tadeusza Kościuszki, w filmie pt. „Do krwi ostatniej" realizowanym przez Jerzego Hoffmana. Film, który opowiada o losach Polaków rozsianych po terytorium Związku Radzieckiego i pierwszych dniach walki I Dywizji, będziecie mogli zobaczyć na ekranach kin już w październiku.

Rozmawiał **Andrzej Wojnach**
Fot. **R. Pieńkowski**

DOM MODY świata młodych

O włosach słów parę

Dawno o włosach (i fryzurach) nie pisałam, więc – pora na ten temat najwyższa. Chociaż... nie poczuwam się do specjalnej winy z powodu zaniedbania w tej dziedzinie, bo jeśli chodzi o fryzury, niewiele – a właściwie prawie nic – się ostatnio nie zmieniło. Pozwólcie więc, że jedynie przypomnę to, o czym już była – i to niejednokrotnie – mowa.

Najmodniejsze fryzury, to fryzury naturalne. Żadne lakiery, żadne tapiry (myślałam, że to już dawno wymarło, ale ostatnio dostałam list z pytaniem, w jaki sposób najlepiej sobie włosy tapirować), żadne wymyślne koki... Nosi się zarówno fryzurki króciutkie, jak i nieco dłuższe. Przy tych dłuższych stosuje się różne kombinacje warkoczy, warkoczyków (nawet przy niezbyt długich włosach, gdy nie da się ich całych w warkoczyki spleść, stosuje się jakiś warkoczykowy element przypięty spinką lub związany tasiemką, wstążeczką, aksamitką), modne są końskie ogony. Zdecydowanie niemodne jest wpadanie włosów do oczu. Dlatego różne odrastające grzywki spina się z boku. Tych spinek jest cała masa. I zwyczajne metalowe, tzw. wsuwki, i – różne ozdobne, kolorowe. Najczęściej plastikowe. W kropeczki, krateczki, kwiatuszki, motylki... Obok spinek jako element zdobniczy (ale nie tylko, bo również umocowujący warkoczyki i inne ogonki) egzystują wspomniane tasiemki i aksamitki. Są one oczywiście skomponowane kolorystycznie z kolorytem całości stroju. No, a poza tym – modne włosy, to włosy zdrowe i czyste. Nie ma nic bardziej niemodnego niż tłuste, zlepione strąki.

Włosy po prostu trzeba myć. Tak często, jak potrzeba. Jeśli ktoś ma nieszczęście być posiadaczką (to samo dotyczy zresztą i chłopców) włosów tłustych – niestety, coraz to częstsza dolegliwość – trzeba raczej zdecydować się na fryzurkę krótką, z której myciem i suszeniem jest mniej zachodu.

Włosy myje się w szamponie odpowiednim do gatunku włosów, zostawiając przy tzw. drugim myciu pianę na włosach przez kilka minut. Po to, aby zawarte w szamponie składniki zdążyły na włosy zadziałać. Woda, zarówno do mycia jak i do bardzo starannego płukania, nie powinna być zbyt gorąca, Suszyć, szczególnie włosy łatwo przetłuszczające się, też należy raczej pod tym chłodniejszym strumieniem suszarki.

Bardzo niedobrze działają na włosy zbyt obcisłe i mało przewiewne nakrycia głowy, a już zbrodnią jest wysiadywanie w czapie w pomieszczeniach zamkniętych.

Sprzyja natomiast posiadaniu ładnych włosów mleko (pite w ilości minimum pół litra dziennie) oraz duże ilości spożywanych zielenin i surówek. Włosom suchym i normalnym bardzo dobrze robi ich systematyczne szczotkowanie, które z kolei dla włosów tłustych jest zabójcze.

Jeśli zauważy się, że włosy zmatowiały, rozdwajają się na końcach, wypadają w nadmiernych ilościach – trzeba udać się do lekarza, może to być bowiem objawem jakiejś choroby, np. anemii, która jest dość częsta u nastolatek.

RIUSZKA

W ostatni dzień września wystartowała telewizyjna „ORBITA", program dla tych, którzy interesują się kosmonautyką i chcieliby w przyszłości pójść w ślady Gagarina i Hermaszewskiego. Poniżej zamieszczamy dla telewizyjnych załóg młodych kosmonautów pierwsze zadanie: budowę prostego telegrafu. Po następnym programie „ORBITY" (z 14 października) TOMIK również zamieści kolejne zadanie dla załóg. Tak więc nasz stały kącik astronautyczno-astronomiczny zamierza współpracować z „ORBITĄ", zachowując nadal swój dotychczasowy charakter klubu dyskusyjnego.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

KOLEJNY KOSMICZNY REKORD

MOSKWA (PAP). Niedziela, 24 września, była 101 dniem pracy Władimira Kowalonka i Aleksandra Iwanczenkowa w kosmosie. Po raz pierwszy w historii kosmonautyki czas trwania lotu zaczęto mierzyć trzycyfrową liczbą. Kowalonok i Iwanczenkow przelecieli nad naszą planetą już ponad 66 mln kilometrów. W momencie kosmicznego jubileuszu – stu dni pobytu na orbicie – wszystkich interesuje samopoczucie niezwykłych rekordzistów, ich stan zdrowia i zdolność do pracy.

Lekarze nie mają żadnych zastrzeżeń do stanu zdrowia kosmonautów – stwierdził prof. Nikołaj Gurowski, kierownik wydziału Medycyny Kosmicznej Ministerstwa Zdrowia ZSRR. Zdarza się, oczywiście, iż czasami odczuwają bóle głowy i pewne zmęczenie w zależności od wykonywanej pracy, lecz z zainstalowanej na „Salucie-6" apteczki kosmonauci korzystają bardzo rzadko. Bardziej odpowiada im środek wzmacniający, będący substancją pośrednią między produktem żywnościowym a lekarstwem. „Jak wynika z danych telemetrycznych, załoga czuje się obecnie dobrze i z optymizmem zapatrujemy się na jej dalszą pracę – podkreślił prof. Gurowski.

W dniu, w którym kosmonauci przekroczyli rekordową granicę długotrwałości lotu, centrum kierowania lotem przyznało im swoistą nagrodę za ten wyczyn. W charakterze „dodatku" zezwolono kosmonautom na wykorzystanie jeszcze jednej dziennej racji żywnościowej, aby mogli wybrać te produkty, które najbardziej im smakują (menu na orbicie zmienia się w cyklu tygodniowym). W miarę trwania lotu upodobania kulinarne kosmonautów zmieniają się. Obecnie Kowalonok i Iwanczenkow faworyzują mięso – cielęcinę, farsz, wieprzowinę, parówki. Smakują im również specjalnie przyrządzone owoce oraz soki.

Psycholodzy podkreślają zgranie w pracy oraz dobrą przyjacielską atmosferę na pokładzie zespołu orbitalnego.

Prof. Gurowski wyraził nadzieję, że Kowalonok i Iwanczenkow zadowalająco zniosą powrót na Ziemię po rekordowo długim pobycie w kosmosie.

Poczta ZSRR uczciła wspólny radziecko-polski lot w kosmos wydaniem trzech znaczków. Na pierwszym, wartości 6 kopiejek, przedstawiono rakietę nośną „Sojuza", na drugim (15 k.) eksperyment „Syrena", który polegał na wyhodowaniu w warunkach nieważkości trójskładnikowego kryształu. Znaczek trzeci (32 k.) przedstawia cały zespół orbitalny oraz statek przeznaczony do łączności satelitarnej.

Fantastyka na ekranie

W TOMIKU z dnia 20.VI br. przeczytałem interesujący artykuł dotyczący filmu „Gwiezdne wojny". Jestem miłośnikiem filmów z gatunków science-fiction i zbieram różne materiały dotyczące tego gatunku. W swoim artykule Paweł Respondek polecał film „Gwiezdne wojny", ja zaś chciałbym polecić czytelnikom TOMIKA film Stevena Spielberga pt. „Bliskie spotkania trzeciego stopnia". W liście mym wykorzystałem fragmenty artykułu Marii Oleksiewicz poświęconego temu filmowi. Reżyser, Steven Spielberg (reżyser słynnego filmu grozy „Szczęki") przez dwa lata zbierał dokumentacje na temat Niezidentyfikowanych Obiektów Latających czyli UFO. Sam Spielberg jest przekonany o istnieniu UFO. Uważa bowiem, że w przestrzeni kosmicznej muszą istnieć jakieś formy życia. Film Spielberga kosztował 18,5 milionów dolarów czyli o 7,5 milionów więcej niż „Gwiezdne wojny".

Teraz parę słów na temat treści filmu. Już od początku na ekranie dzieją się dziwne rzeczy. Oto w środku nocy zostają wprawione samoistnie w ruch elektryczne dziecięce zabawki, telewizory, rusza także i odmawia posłuszeństwa zmechanizowany sprzęt gospodarstwa domowego, młynki, sokowirówki, pralki i lodówki. Kiedy kończy się ów balet mechaniczny, nad stanem Indiana zapada ciemność. Wielka awaria systemu energetycznego sprawia, że na rozgwieżdżonym niebie łatwiej można spostrzec kręgi poruszające się z zawrotną szybkością. Ludzie wybiegają z domów, wsiadają do samochodów, wyruszają na autostrady i szosy. Tworzą się korki, kraksy. Spośród tłumu ciekawskich tylko kilku wybranych uzyska szansę największą – możliwość bezpośredniego kontaktu z przybyszami z innej planety, a może nawet innej galaktyki. Tymi wybrańcami będą Jullian Guiler – matka kilkuletniego Barry'ego, który zniknął tajemniczo z domu, dzielny elektryk, Roy Neary, i francuski naukowiec, który za pomocą śpiewanych kilku taktów wyjętych z hinduskich modlitw nawiązał kontakt z przybyszami z kosmosu.

– Nie wiem co się zdarzy. Wiem tylko, że będzie to piękne – mówi francuski naukowiec Lacombe. Dla niego spotkanie z kosmitami jest wielką intelektualną przygodą, tym większą, że kosmici traktują ludzi przyjaźnie.

To tyle na temat treści filmu. Reżyser Spielberg w wywiadzie dla „L'Express" powiedział, że najbardziej wyczerpującą i trudną sceną była scena, w której hinduski tłum śpiewa psalmy na szczycie góry, gdzie straszliwie paliło swymi promieniami słońce. Ujęcie to musiano wiele razy powtarzać, ponieważ Hindusi strasznie fałszowali a niestrudzony Spielberg kazał wiele razy ujęcie powtarzać. W filmie tym, w przeciwieństwie do wielu zachodnich filmów science-fiction, mamy optymistyczny obraz spotkania ludzi z kosmitami.

Jeszcze parę słów na temat wyglądu kosmicznych gości: kosmici czyli „Humanoidy" mają uszy w zaniku i przypominają swym wyglądem wielkie pająki, komunikujące się między sobą za pomocą telepatii. Film Stevena Spielberga odnosi olbrzymie sukcesy w Stanach Zjednoczonych, a na całym świecie twierdzi się, że przyćmi on sławą film George Lucasa (kolegi Stevena Spielberga) „Gwiezdne wojny". Film ten będzie z pewnością niedługo zakupiony i obejrzenie go będzie wielkim rarytasem dla miłośników fantastyki naukowej.

Paweł Gzyl
Osiedle Kościuszki Bl. 8/9
28-100 Busko-Zdrój

WZYWA „ORBITA"...

Zbierzcie się w czwórkę. Napiszcie swoje imiona, wiek oraz adres na kartce pocztowej i wyślijcie ją pod adresem: „Orbita", OSIEDLE KOSMONAUTÓW, 61-641 POZNAŃ.

Z takim to pierwszym wezwaniem zwraca się Telewizja Młodych Kosmonautów „Orbita" do wszystkich dziewcząt i chłopców, którzy pragną lepiej poznać gwiazdy i planety, interesują się podróżami kosmicznymi, chcą uprawiać sport kosmonautów, budować ciekawe urządzenia, modele i zabawki.

Jeśli marzycie o lataniu, pragniecie być silni i odważni jak kosmonauci – „Orbita" Wam w tym pomoże. Oglądajcie programy Telewizji Młodych Kosmonautów „Orbita". Pierwszy program został nadany 30 września. Następny obejrzyjcie 14 października o godzinie 15-tej w programie I TVP. Stwórzcie czteroosobową załogę, wyślijcie zgłoszenie, a wkrótce otrzymacie legitymację Młodego Kosmonauty.

A oto opis urządzenia zaprezentowanego w I programie „Orbity".

BUDUJEMY TELEGRAF

Bardzo ważną sprawą dla Waszej załogi będzie oczywiście możliwość szybkiego porozumiewania się. Mieszkacie wszak bardzo blisko siebie, np. w tym samym bloku czy domach sąsiednich, ale mimo to natychmiastowy kontakt może stwarzać trochę kłopotu. Zbudujcie więc telegraf, który za pomocą alfabetu Morsa ułatwi łączność całej grupie. Do tego celu potrzebne nam będą następujące elementy: przycisk dzwonkowy (1), który zastąpi nam klucz telegrafu; oprawka do żarówki latarkowej (2); żaróweczka do latarki (3) – 4,5 V; dzwonek bateryjny (4); przewód dwużyłowy (5) – najlepiej dzwonkowy; wyłącznik (6); trzy baterie płaskie – 4,5 V każda. Na płytce – może to być sklejka, płyta wiórowa, deseczka itp. – o wymiarach około 12 na 15 cm montujemy przycisk dzwonkowy, oprawkę do żarówki, wyłącznik i dzwonek. Wywiercamy również dwa otwory, w których mocujemy dwie śruby (8) o średnicy około 4 mm, przykręcając ją zewnątrz nakrętkami, tak aby ich łebki były od spodu płytki. Wszystkie te elementy łączymy cienkimi przewodami pod spodem płytki.

Sposób połączeń przedstawiony jest na schemacie I. Uwaga, wyłącznik dzwonkowy służy nam do tego, ażeby w każdej chwili można było dzwonek wyłączyć i bez hałasu odczytywać znaki alfabetu Morsa z mrugającej żarówki, a podłączyć go ponownie po zakończeniu łączności, ażeby słychać było kolejne wywołanie przez innego członka naszej załogi. Do zasilania służyć nam będą trzy baterie płaskie połączone szeregowo (w celu uzyskania większego prądu). Najlepiej przymocować je pod płytką za pomocą przybitej skobelkami gumki od wecków, pod którą wkładamy baterie. Tak zmontowane urządzenie gotowe jest do pracy. Łączymy je teraz z pozostałymi wg schematu II (identyczne zespoły odbiorczo-nadawcze mają wszyscy członkowie załogi) przy pomocy przewodu dwużyłowego, który prowadzimy do mieszkań tak, aby nie przeszkadzał sąsiadom.

Nasz system łączności jest gotowy. Proponuję, aby każdy z Was miał swój charakterystyczny sygnał, za pomocą którego będzie wywoływany. Pamiętajcie również o tym, aby po nadaniu informacji zakończyć ją swoim sygnałem. Ułatwi to rozpoznanie nadającego a jednocześnie stanowić będzie informację o zakończeniu nadawania. To bardzo ważne, gdyż w przeciwnym wypadku powstałby bałagan i jedni drugim zakłócalibyście odbiór. Jeszcze jedna rada praktyczna: dla ułatwienia Wam skompletowania wszystkich elementów, proponuję skorzystać z zestawu ELEKTROSET, który można kupić w sklepach Centrali Harcerskiej za 45 zł. Jest tam wszystko co potrzeba do zbudowania jednego urządzenia odbiorczo-nadawczego.

No i na koniec sprawa zasadnicza – jak najszybciej trzeba nauczyć się alfabetu Morsa.

TRZECI

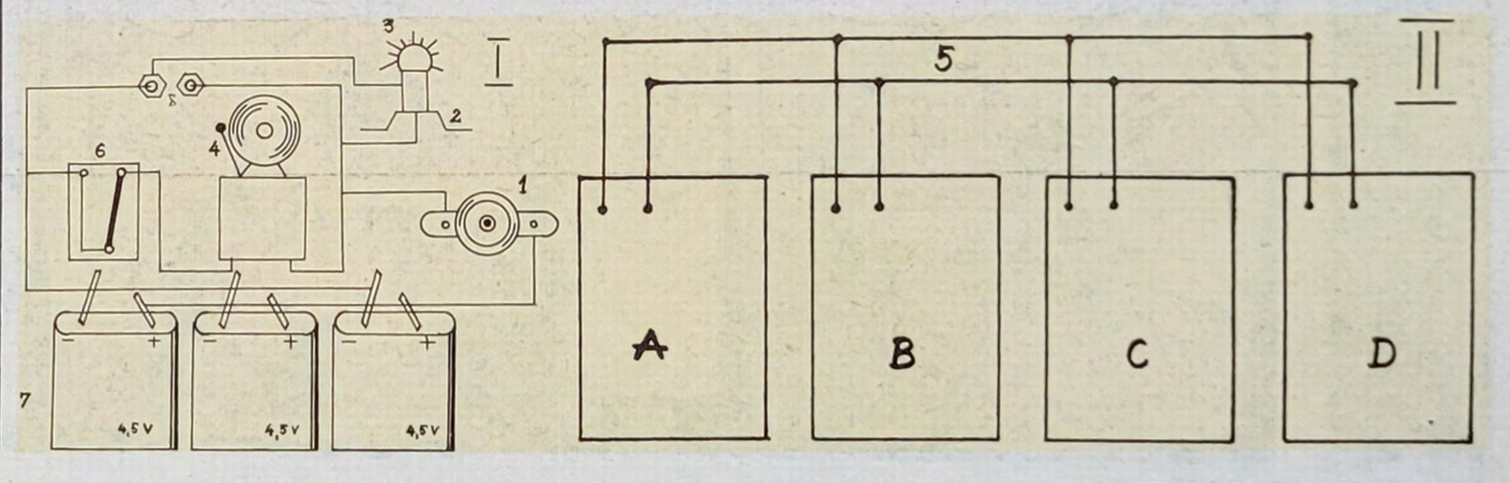

– My akurat nie z tych – wyjaśnił Piotr.

– Całe szczęście – szepnął pan przy kierownicy, patrząc na ruszające przed nimi samochody. – Nareszcie możemy jechać.

Wóz potoczył się znowu po bruku, jednak nie ujechali daleko.

– Tu nie przyśpieszymy, moi drodzy.

Co tam! przecież naprawdę im się nie śpieszy. Nikt tu na nich nie czeka w tym ogromnym mieście.

Kiedy cztery godziny temu stali z gitarą na poboczu szosy, licząc mijające ich samochody, było im bardzo pilno. Machali rozpaczliwie torbą z napisem „autostop" i chcieli być jak najszybciej w Paryżu.

Zatrzyma się – nie zatrzyma – przeleciał. Sześćdziesiąty drugi. Oczywiście, z takimi włóczęgami lepiej się nie zadawać. Proszą o podwiezienie, a nie wiadomo, co knują w swoich głowach.

– Siedemdziesiąty – mruknął Piotr pod nosem. – Chyba nic dziś z tego nie będzie.

Ale siedemdziesiąty pierwszy, stary, rozklekotany citroen, zatrzymał się tuż koło nich. Kierowca otworzył drzwiczki samochodu.

– Siadajcie, chłopcy! Na pewno do Paryża.

– Tak.

– Od razu wiedziałem – roześmiał się szeroko. – Dokąd mogą ciągnąć latem tacy muzykanci, jak nie do Paryża. Właśnie tam jadę.

Chłopcy wskoczyli szybko na tylne siedzenie.

– Bardzo wam się śpieszy? – spytał miły szpakowaty pan przy kierownicy.

– Nie. Chcieliśmy tylko jakoś dojechać.

– To dobrze, bo, wiecie sami, mój wózek więcej jak dziewięćdziesiąt nie wyciągnie, a i to tylko przy sprzyjającym wietrze... Pędźcie sobie, pędźcie waszymi DS-ami i peugeotami – machnął ręką na wyprzedzające ich samochody. – My i tak dojedziemy, prawda?

Citroen huśtał się na nierównościach szosy.

Arras... Arras na drogowskazach. Już kawałek drogi za nami.

– Dobrze się złożyło, że was spotkałem – mówił pan za kółkiem. – Przynajmniej jedzie się we trójkę. Poczęstujcie się krewetkami – podał im do tyłu torbę. – Smacznego. Są dobrze uwędzone. Jadą ze mną prosto z Dunkierki. Tam są specjaliści od przyrządzania takich owoców morza, palce lizać! A słyszeliście o tym, że jedna krewetka na tysiąc przynosi szczęście? Kto wie, może jest tu i ta szczęśliwa. Ciekawe, kto ją wyciągnie. Któż bowiem nie potrzebuje odrobiny szczęścia. W interesach, w miłości, w podróży... prawda?

– Prawda. Właśnie bardzo by nam się przydało – zaczął Janek i zamilkł jakby w obawie, że za dużo powie i zapeszy.

Szpakowaty pan zerknął na nich w lusterku.

– To po co w takim razie ciągniecie do Paryża? – zapytał. – Tam szczęścia niewiele. Zwłaszcza dla przybyszów.

– Poszukamy. A może...

– Więc jedziecie tak na „może"?

– Mamy trochę piosenek i gitarę.

– Gitarę widzę, na piosenkach się nie znam. A jak stoicie pod względem, że tak powiem, finansowym?

– Mamy kilkadziesiąt franków i trochę dobrego humoru, proszę pana. Humor nam nieco wywietrzał, kiedy czekaliśmy na okazję, a pieniędzy nie liczyliśmy dokładnie.

– Kilkadziesiąt franków – powtórzył z troską zza kierownicy. – Ho, ho! To niewiele. A macie chociaż gdzie zamieszkać?

– Znajdziemy sobie jakiś niedrogi hotelik – powiedział Janek z przekonaniem. – Może chociaż na kilka nocy. A potem się zobaczy.

– No, tak... – Spostrzegł w lusterku smętny uśmiech. – Niedrogi hotelik na kilka nocy w Paryżu... A jeść też coś trzeba, prawda? Oho, już was widzę, jak zmykacie z powrotem. Tylko polujcie wtedy na lepszą limuzynę niż moja.

– E, może nie będzie tak źle.

– Może i nie będzie. Nie chcę was straszyć. Różnie przecież bywa na tym świecie... A więc macie gitarę i piosenki. Niezły towar, tylko że w Paryżu jest go w nadmiarze. Przekonacie się sami. Takich gitarzystów snuje się tam cały pułk. I na pewno każdy z nich marzy o sławie. No, ale trzeba przyznać, że czasem któremuś z nich się udaje. Ale to jest...

Cdn.

ATOMEK

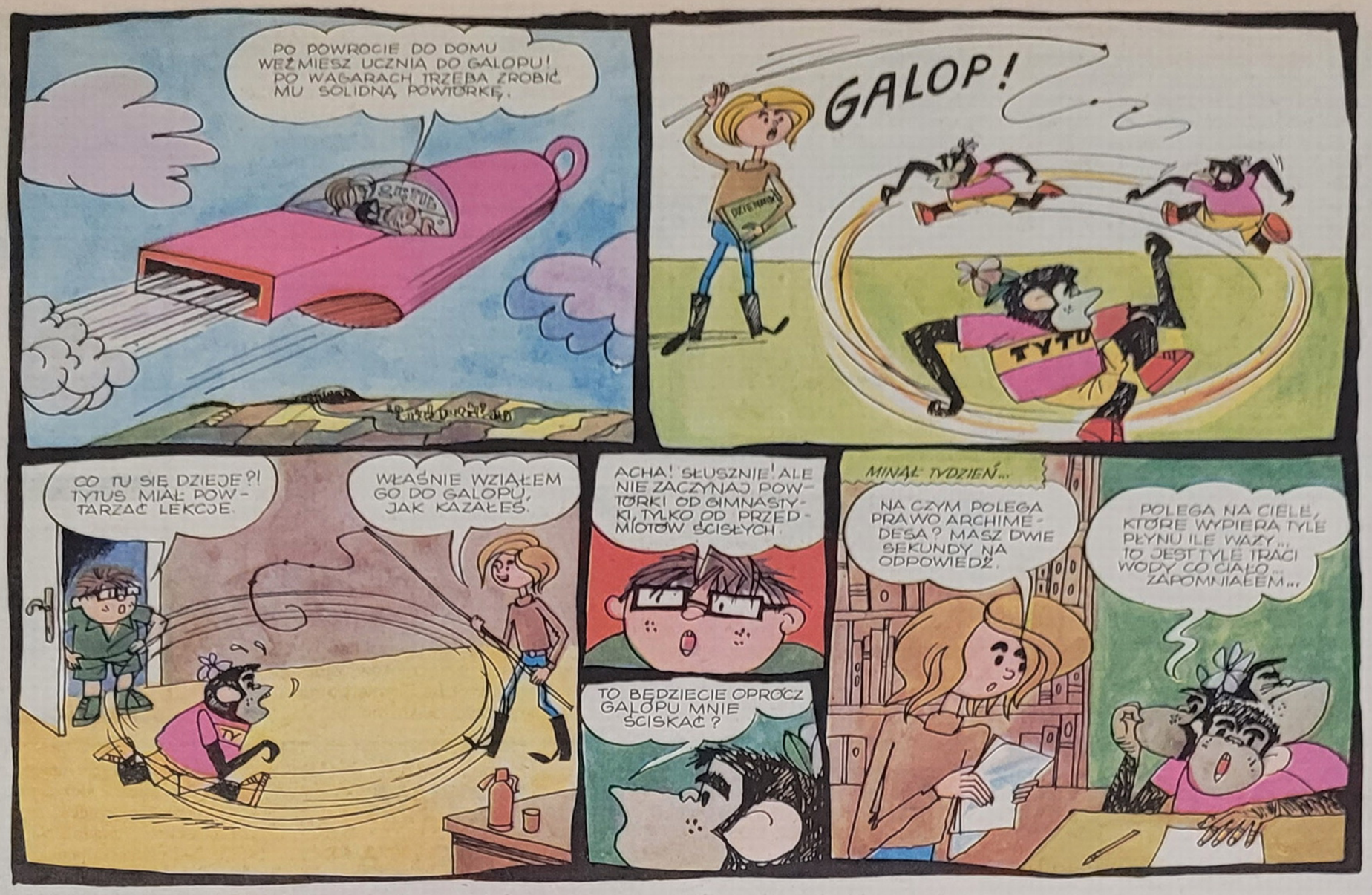

TYTUS, Romek i Atomek

TEKST I RYSUNKI
PAPCIO CHMIEL

ŚWIAT MŁODYCH
Warszawska Gazeta Nastolatków

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 6444/G **S-14**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W życiu tak samo jak w piosence:
radość ze smutkiem pomieszana.
Dzisiaj wesoło świeci słońce,
a jutro będzie deszcz od rana.

Paryż w słońcu, Paryż w deszczu, Paryż we mgle... A tu pomieszało się wszystko naraz: i słońce, i deszcz, i mgła,.. Cała piosenka na jednym obrazku. O! Paryżu, jak cię tu zrozumieć, kiedy w głowie też pomieszało się wszystko naraz: radość, lęk i nadzieja.

Samochód pędzi między niskimi domami, stłoczonymi ciasno jeden przy drugim wzdłuż ulicy. Rozchlapane błoto na bruku, rynsztokami płynie spieniona woda. Słońce ledwo prześwieca przez snujący się dym i mgłę.

Za kanciastymi załomami murów, pod markizami małych sklepików czai się melancholia i smutek. Tu i ówdzie kolorowe plakaty przydają jeszcze beznadziejności temu widokowi.

– Trochę inaczej wyobrażałem sobie to miasteczko – mówi Janek rozglądając się uważnie dokoła. – Takie tu wszystko jakieś... Jeszcze smutniej niż w naszym Pas-de-Calais.

– I nawet nikt nie wyszedł nas przywitać – dorzuca ironicznie Piotr.

– O, la-la, chłopcy, poczekajcie jeszcze odrobinę – śmieje się szpakowaty pan przy kierownicy. – Paryż jeszcze ciągle jest przed nami. Najpierw musimy sforsować przedmieście. Zapuściliśmy się w te boczne uliczki, żeby ominąć... – zająknął się. – Ale zdaje się, że nie ominęliśmy – dokończył z rezygnacją.

Wjechali na szeroką ulicę i znaleźli się w długim szeregu ciągnących powoli aut.

– Trafiliśmy na mały korek – powiedział hamując ostro. – To trochę potrwa. Proszę bardzo jedzcie krewetki i udawajcie, że wam się nie śpieszy. – I nagle zaśpiewał grubym głosem:

Westchnął i odwrócił się do chłopców:

– Słuchaliście kiedyś Yves Montanda? „La vie est comme une chansonette".[1]. I to jest prawda. A zwłaszcza, jak to mówią, w Paryżu...i złoto, i błoto, wszystko razem. Wszelako błota odrobinkę więcej. Ba, Yves Montand! Dziś już niemodny, ale za moich czasów... Co tam gadać! Ja pamiętam jeszcze Chevaliera. To był majster! Jak zaśpiewał, to aż w człowieku wszystko skakało w rytm melodii. A i sentymentalnie też potrafił. No i co wy na to?

– Na Yves Montanda zgoda – mruknął Janek. – Ma parę mocnych piosenek. A co do Chevaliera...

– Śmiało! śmiało! – zachęcał kierowca. – Nie podoba wam się, nie znacie i w ogóle to nie to, prawda? No cóż, gusty się zmieniają... Ale mówię wam: to był artysta! Dzisiaj już się takich nie spotyka.

Jankowi aż rozbłysły oczy.

– Są za to inni – powiedział przekornie. – I chyba wcale niegorsi. Piosenki też są inne. Może mniej sentymentalne, ale za to bardziej... gryzące.

– Nie można bez przerwy gryźć – uśmiechnął się starszy pan i wymamrotał przez zaciśnięte usta. – Wy, młodzi, chcielibyście wywrócić wszystko do góry nogami. Pięknie, można i tak, ale przekonacie się kiedyś sami – pogroził im żartobliwie palcem – przekonacie się, że to nie wystarcza. Wiem, wiem, co chcecie powiedzieć: że trzeba drażnić sytego mieszczucha. Też nieźle. Mieszczuch czasem to nawet lubi. Ale jak zaczną bębnić na cały regulator, i drzeć się jak opętani, to... wybaczcie mi panowie...

Dokończenie na str. 7

[1] – *la vie est... (franc.) – życie jest jak piosenka*